

# BEZIMIENNI BOHATEROWIE

## Powstania Wielkopolskiego



*Szkic historyczno-literacki*

**ROMAN WILKANOWICZ**

Roman Wilkanowicz

Bezimienni Bohaterowie Powstania  
Wielkopolskiego  
Szkic historyczno-literacki

Wersja Demonstracyjna



Roman Wilkanowicz  
„Bezimienni Bohaterowie Powstania Wielkopolskiego”

Copyright © by Roman Wilkanowicz, 1928  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Kamil Skitek  
Projekt okładki: Kamil Skitek  
Składy główne: Spółka Pedagogiczna, Poznań  
Poznań, 1928

ISBN: 978-83-8119-496-9

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706

<http://www.psychoskok.pl/>

<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>

e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

## WSTĘP.

Książka ta obejmuje tylko dzieje konspiracji przedpowstaniowej, uwzględniając wypadki do dnia wybuchu Powstania w Poznaniu t. j. 27 grudnia 1918, wypełnia zatem, choć w części lukę pozostawioną przez poprzednie publikacje tego rodzaju, i rzuca pewne światło na działalność naszego „Harcerstwa” i „Polskiej Organizacji Wojskowej” (P. O. W.) w Powstaniu, a więc działalność dwóch najżywoźniejszych grup bojowych, których dotąd prawie nie znaliśmy.

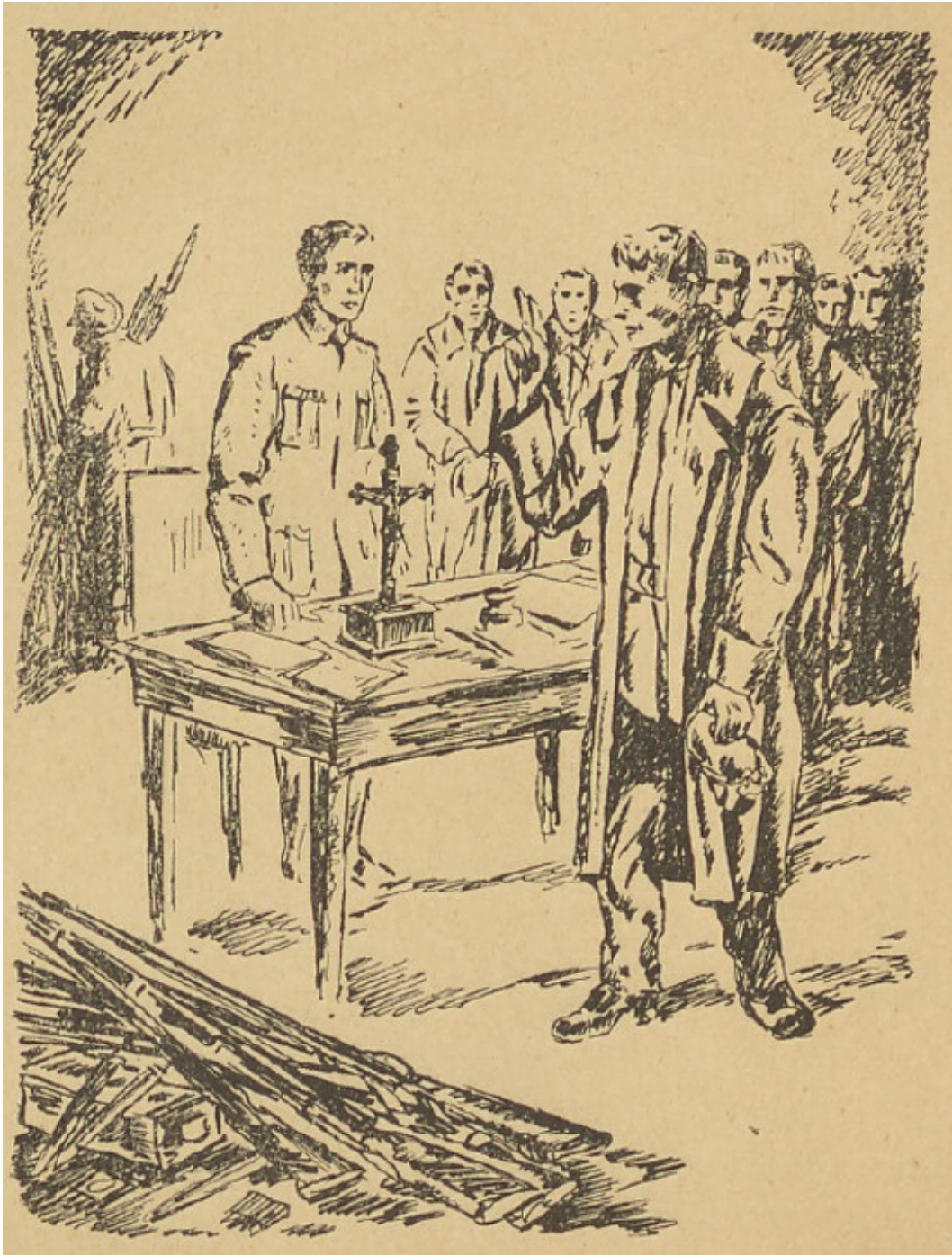
Zamiarem naszym jest rozszerzyć i uzupełnić ten temat przez wydanie dwóch dalszych tomów, obejmujących a). Powstanie w Poznaniu, b). Powstanie na Prowincji, pióra tegoż autora. Z czysto zrozumiałych względów autor wstrzymał się od ujawniania nazwisk poszczególnych uczestników, przekazując je w oryginalnym brzmieniu do Biura Historycznego D.O.K. VII w Poznaniu, które zajmuje się zbieraniem materiałów dla wydania wyczerpującej historii Powstania Wielkopolskiego.

*Tobie Polsko, ta kropla krwi wrzącej,  
Tobie Polsko, tych naszych serc bicie,  
Tobie każdy cień myśli gorącej,  
Tobie wszystko, na śmierć i na życie!*

*Iżeś była Chrystusem Narodów,  
A przez swoje znów Zmartwychpowstanie,  
Dozwołałaś doczekać nam Godów,  
Na słonecznej Nadziei polanie -  
Chwała! Chwała!*

*Tobie — Matko sierocej niedoli,  
Tobie — Jutrzni Bożego Królestwa,  
Święta radość naszego Jestestwa,  
I ten smutek, co krwawi i boli.*





# KTO?

## *Introdukcja*

*Nazwisko jego nieznane. — Może pochodzi ze środowiska, może z maleńkiej podmiejskiej wioski, może był profesorem, doktorem, szlachcicem miennym, robotnikiem o łapach pokrzywionych od ciężkiej pracy i chronicznego reumatyzmu — a może Skaucikiem małym, nieodrosłym od ławy szkolnej, czy warsztatu szewskiego — kto wie?*

*Imię jego nieznane ... ale wydał go Naród, który poprzez krew męczeńską wstawił się w świecie serc człowieczych i jasnych duchów ludzkości szlachetnej.*

*— Wiec Imię jego jest — Naród!*

*Umęczony, złożony do grobu, powstał z letargu, kiedy nadszedł Świt, wymodlony przez pokolenia, smagane knutem niedoli — i własnej niemocy.....*

*— Jutrznia ! — — — Rozwarły się wrota wierzeń, opadły okowy z niewolniczych ramion, wyprostowały się grzbiety przygięte hańbiąco ku ziemi — Powstał.*

*— On .....*

*Naród!*

# POWRÓT.

**Wolność!!!**

**— Wilhelm II ustąpił!**

— Koledzy, Wolność!!!

Okrzyk ten odbijał się tysięcznym echem po olbrzymim korytarzu znanej twierdzy niemieckiej Szpandawy, wzdłuż którego po obu stronach ciągnęły się nieprzeliczone cele, za których okutymi drzwiami cierpieli za nieposłuszeństwo, bunt lub podejrzani o knowania rewolucyjne, żołnierze „wielkiej i nigdy niezwykniętej” armii.

Górami, wzdłuż galerij żelaznych, do których można się było dostać po takichże schodach, czerniały również nieskończone szeregi drzwi.

— Koledzy, Wolność!

Hasło to rzucały posterunki, nakładając pospiesznie na ramiona czerwone opaski i zdejmując bagnety z karabinów, — z korytarza w korytarz, wzdłuż baraków blokowych, do lazaretów, gdzie dogorywały na szkorbut, suchoty, lub gorszą od nich nostalgię, cienie ludzkie. W ślad za tym hasłem jęły dzwonić klucze, trzaskać drzwi, a w końcu wszczął się jeden przeciągły grzmot, — to niecierpliwsi, nie mogąc się doczekać, lub w obawie, że zostaną pominięci, że o nich zapomną, jęli walić oderwanymi od ścian pryczami i ciężkimi ławami w drzwi, tak, że sypały się w drzazgi z łoskotem.

Niektóry, wypadłszy z celi, zatoczył się jak pijany, inny cofał się z powrotem bezradnie, nie wierząc w ten niepojęty fakt, inny toczył krwawymi oczyma w poszukiwaniu swoich dręczycieli: opasłego feldfebla, katującego w piwnicy, gdzie znajdowała się kąpielnia, ofiary węzłem gumowym, lub posterunkowego, którego celne strzały, skierowane do więźniów, słyszał niejednokrotnie...

Ci zaś, wysuwając naprzód swoje ramiona z czerwonymi



opaskami, jak tarcze, witali go rozbrajającym słowem: kamerad!, olbrzymim bochnem chleba, przeznaczonym na drogę, i ciepłym kocem, które to skarby, w raz z uniformem szeregowym i aktami oskarżenia, wolno było zabrać każdemu do domu — jako zapłatę za czteroletnią krwawą mękę...

— Szczęśliwy, kto uchodzi z życiem.

— Choćby nawet z tą resztką złamanego życia!

Mogła być jakaś godzina czwarta czy piąta po południu. Wczesny, listopadowy mrok okrywał podwórzec forteczny, bramę i rozmokłą drogę, wiodącą do miasta. Nieliczne latarnie przeglądały się w kałużach wody, stojącej w zagłębieniach.

Wolność!!!

Wiatr targa ostatnimi zwiędłymi listkami na drzewinach, ramujących drogę.

Wewnętrzna radość, która aż drga w człowieku, maści tylko pytanie chwilowe:

— Dokąd pójść?

— Co począć?

Do domu setki, setki kilometrów . . . noc za chwilę . . . chłód!...

I . . . ten jeden bochen chleba w zapasie!

Trzęsące się ręce, za dyktandem spragnionego żołądka, oszukiwanego przez miesiące ciepłą wodą, przypominającą raczej pomyje, niż zupę, i okruchami ze skromnej racji chleba, zamienianego u żarłocznych posterunków na papierosy, poczynają rwać ten bochen i nieść go do ust kawałami, które nie przeżute, nikną w czeluściach gardła.

Naraz zaroilo się na drodze.

Nowe gromady wysypały się z gardzieli fortecznej, spiesząc, jakoby w obawie, aby ich nie nawrócono, małoco gwarząc, olśnione tą spodziewaną a jednak tak nieprawdopodobną swobodą, ogłuszone, po ciszy więziennej, tupotem tysięcy nóg spieszących i dalekim gwarem miasta.

— Tak., ten olbrzym idący w grupie, był skazany na 20 lat...

— Tamten... dożywno...

— Tego tam... po wyroku na sześć, czekał jeszcze proces o zabójstwo oficera...

— Tam idą kryminaliści. . . tam Alzatzycy . . . tam skrzykują się Polacy.

Wśród ostatnich jeden typ, ledwie trzymający się na nogach, w śmiesznym lazaretowym ubraniu w paski.

— Śmieszny typ . . .

— Oooo, jak się chwieje!

— Buch! . . .

— Podnoszą go . . .

— Widzisz, jak cię zamroczyło świeże powietrze, cicho, cicho, to przejdzie, to tylko tak na początku...

— Ale też musiał się spieszyć, że nawet nie zdążył się przebrać, choćby w ten „ułański" mundur. . .

— Z tarczą do celu na plecach.

— I z generalskimi epoletami bez numerów . . .

— Byłoby mu nawet do twarzy, a tak, to się bieli w tym szlafroku, jak jaki anioł.

— Teee! Biały! Trzymaj się, bo cię wiatr przewróci!

— Co my zrobimy? Jak dostaniemy się do domu?

— Gdzie mieszkasz? — szepcą gorączkowe głosy.

— Poznań.

— Września.

— Miłostaw.

Padają nazwy miast, miasteczek i wiosek, tak miłe sercu, tak dawno nie wymówione głosem ludzkim, tak dalekie. . .

— Siadamy w pierwszy lepszy pociąg — mówi lazaretnik

— i jedziemy, pieniędzy nie potrzeba, bo . . . przecież rewolucja, zresztą siłą. Broń przecież muszą wydać jakieś komitety, albo weźmiemy sami. . . Maszynistów się zmusi do jazdy, gdyby pociągi nie kursowały ...

— Słusznie.

Gwar miasta, światła, za chwilę dworzec.

Pociągi lokalne kursują, wygodne, obszerne wagony, tłok.

Biały pogubił jakoś swoich towarzyszy i znalazł się sam w pociągu dążącym do Berlina, wśród rozgorączkowanego świeżymi wypadkami tłumu, przyglądającego mu się ciekawie.

— Teraz do domu? ... Biedny człowiek ...

Z woreczków i kieszonek w kamizelkach zaczynają się supłać fenigi i trojaki, a gdzie nigdzie i pół marki zabłyśnie „na drogę”. Jakaś „Frau” odwija z gazety krajanki chleba i podaje, zachęcając litościwie:

— Iss, iss.

W sercu Białego tworzy się bunt:

— Od nich? Od tych morderców? Katów ? Tych ...

Tych ...!

Dech zapiera piersi, gorycz i gniew dławią w gardle, aż

wkońcu przychodzi uspokojenie.

— Bo i cóż oni Winni? Naprzykład ta babina ze swojemi „sznytkami”, albo ten trzęsący się dziadzio, albo ten suchotniczy kupczyk, co mu dał pół marki?... System tu tylko, system kieruje tą bezwolną masą. Przyczyny głębiej należy szukać...

Rozmyślenia przerywa zgrzyt gwałtownie hamowanego pociągu. Berlin. Stajemy u celu. Łuna się pali nad stolicą stugłowego smoka od miliardów latarni, jarzących na ulicach.

Gdzieś szczeka kulomiot.

Na dworcu posterunki wojsk rewolucyjnych. Stosy karabinów i amunicji, odebranej podróżującym żołnierzom, leżą na peronach bezładnie, tłum się roi.

Stojący pod karabinem żołnierz rzuca gorączkowo:

— Spandau?

— Tak jest.

— Na plac Aleksandra.

Ulice puste, tu i owdzie przeciągają patrole, zadudni auto ciężarowe, obsadzone zbrojnymi, przemknie „Mercedes” czy „Benz”, wiozący jakąś „komendę”, tam żywy łańcuch zamyka ulice. Żołnierze przechodzą, nie zaczepiani przez nikogo.

Na placu gwarniej, wychodzą stamtąd mniejsze lub większe oddziały, dążąc w rozmaitych niewiadomych kierunkach. Ciągnione, jak psy na smyczy, kulomioty huczą po asfalcie, lub podskakują trajkocąc po bruku. Jakiś cywil w czerni w rodzaju bekieszy, przepasany „koplem”, zbrojny w szablę i rewolwer, zdaje się wydawać rozkazy.

Pierwszą myślą Białego jest zdobyć mundur i płaszcz, bo chłód zaczyna nieco dokuczać. Zaczyna więc bombardować do

wskazanych koszar — niestety napróżno. Stojący w sieni na posterunku żołnierz, tłumaczy przez okienko, nie otwierając bramy, że ma srogi zakaz wpuszczania kogokolwiek z obcych żołnierzy. Jest to najwidoczniej pułk wierny Wilhelmowi, lub rezerwowany jako policyjny, na nieprzewidziany jakiś wypadek. Wszystkie przedstawienia odbijają się jak groch o ścianę, na szczęście jakaś dziewczyna, z typu „wesołych”, przysłuchująca się tej bezowocnej gadaninie, występuje z niespodziewaną propozycją:

— Chodź do mnie, co się będziesz prosił tych psów, dam ci mundur mego narzeczonego, który śpi „zalany”, a na ulicę i tak nie pójdzie, bo już — powiada — ma wszystkiego dosyć.

Nie było wyboru, za chwilę więc, minawszy parę ciemnych zaułków, nasz Biały, w raz z dziewczyną, znalazł się w speluncie, której wygląd wewnętrzny głośno świadczył o jej charakterze. Tu nastąpiła nieco groteskowa scena ściągania z nieprzytomnego, a buchającego kornusem draba, butów (gdyż nasz bohater wybrał się na wielkie przewroty, także w pantoflach szpitalnych), munduru, a wkońcu portczysków obszernych.

Ubrany już, sięgnął do zdjętych „parad” po owe użebrane w wagonie grosze z zamiarem wręczenia ich, jako odszkodowanie za mundur uprzejmej dziewczynie, ale powstrzymała go z lekkim oburzeniem:

— Nie bądź głupim! Tobie samemu to się przyda, bo na tej wszawej rewolucji napewno nic nie zarobisz — chyba że ci dziurę w brzuchu bagnetem wywiercą.

— Och! głupie chłopy!. . .

Poczęstowany wódką na drogę, od której mu się w głowie



odrazu zakręciło, że mała nie usiadł, i poinformowany, gdzie znajduje się punkt zborny wojsk rewolucyjnych, niezadługo wchodził do olbrzymiego, czerwonego gmachu, jakoby poczty czy czegoś podobnego, gdzie ze stosów wszelkiej broni, zsypanej bezładnie w olbrzymiej sali, wybrał sobie karabin, naboje do tegoż, a potem zaopatrzył się w legitymację partji, urządzającej rewolucję, którą mu wypisała w urzędzonym na prędce biurze piękna i pełna blondyneczka.

Noc mu minęła na patrolowaniu autem cężarowem, wywiadach pieszych, otwieraniu więzień politycznych i wojskowych, aresztowaniach itd. Do potyczek przychodziło rzadko, trochę strzelaniny, zdaje się przeważnie wynikłej z nieporozumień, trochę kolbowania po łbach, niewiadomo do kogo należących, ot i wszystko.

Brał w tem wszystkim chętny udział, mając okazję mścić się za swoje cztery lata męki w nienawistnym mundurze, za długie, długie miesiące więzienia, szykan i męki upośledzonego i torturowanego człowieka.

Ileż to krzywd, ile cierpień, od dzieciństwa, poprzez młodość i wiek męski. . .

Opatrzony sercem buntowniczym, nie mogącym spokojnem tętnem uderzać pod ciężką brutalną pięścią wroga kultury i człowieczeństwa, wroga wszystkiego co szlachetne — wroga jego Ojczyzny i Narodu, mścił się.

Mścił się za pogwałcone sumienia rodaków, którzy już jęli zatracać czystość myśli polskiej, za upokorzenie co najhardszych duchów przez mus noszenia znienawidzonego munduru i mus walki nie za swoją sprawę, — częstokroć walki bratobójczej.

Mścił się! Wszystko jedno, gdzie padnie ta kula, kogo trupem położy, członka tej czy innej partji, skoro osobnikiem tym jest odwieczny wróg - gnębicie!, morderca gołębic serc dziecięcych i mężobójca.

- Ach! . . .

Może to nieszlachetne uczucie, może to nieszlachetny czyn. . . ale czyż dziwić się udręczonemu niewolnikowi, zerwanemu z łańcucha, że na widok ciemiężców, oczy mu krwią zajdą i szął rozum ogarnie!?

Czasem przecież do trzydziestu trupów wywożono nocą z fortecy — częściowo zakatowanych. . .

Bił feldfelbel do krwi w obecności posterunkowego żołnierza-kamrata, który na jeden odruch samoobrony ze strony więźnia, strzelał, kładąc trupem „buntownika” na miejscu.

Czasem zdarzało się widzieć ludzi nawpółzgniłych i owrzodziałyoh, ludzi - starców, choć dopiero żyć zaczęli, ludzi - idjotów, choć mieli za sobą chlubną przeszłość intelektualną.

Kto byli ci nieszczęśliwi...?

Prawda, że wielu też było Niemców . . . z tych szlachetniejszych, ale. . .

Rankiem znalazł się na dworcu.

Szczęśliwym trafem pociąg szedł w stronę Frankfurtu; dokąd zajedzie? nikt tego nie wiedział, a i przewidzieć było niemożliwością.

W pełnym mundurze, przy broni i zaopatrzonej w ową legitymację, wszedł, zajmując zaraz wobec kierownika pociągu stanowisko „dygnitarza” (cóż ten biedny człowiek mógł wiedzieć?) nowych władz stolicy.

Pociąg był przepelniony, platformy, stopnie wagonów, dachy, poczęły się w drodze coraz więcej zapełniać.

Biały, rozzuchwalony nocnymi przeżyciami, wyrobił sobie wygodne i niepoczesne miejsce w przedziale, skąd dobiegały dźwięki polskiego języka, tu nadspodziewanie się natknął od razu na znajomego żołnierza, z zawodu kelnera, z Poznania. Znany to był ćwik i „lazarettbruder”, z którym władze wojskowe nie mogły sobie poradzić. Wracał też z fortecy, gdzie się dostał za „kawałki”, urządzane na froncie zachodnim, z których jeden polegał na tym, że wioząc dwóch wyższych oficerów automobilem (służył bowiem jako szofer) na inspekcję wzdłuż frontu, usiłował ich przewieźć, w przystępie dobrego humoru, na „drugą stronę”, a przy tem i sam czmychnąć do Francuzów. Rzecz byłaby się udała — opowiadał — tylko natknęliśmy się na „nasz” patrol, a że nie słyszałem wołania „halt!” a patrol zaczął strzelać do opon, musiałem „wylądować”.

— Właściwie, — kończył — to sąd wojenny sam nie mógł zemną dojść do rozumu na temat: winien? czy nie winien? bo przecież mogłem drogę zmylić . . . aż w końcu wynaleźli jakieś niesubordynacje, że nie usłuchałem rozkazu posterunków (choć mogłem także nie słyszeć) i wpakowali niewinnego człowieka, — dodał z komiczną żałością.

— Ale było już źle, oj, bardzo źle — kończył — mogli parę kulek wlepić . . .

— A szkoda byłoby chłopca!

Zaczęli się naradzać po cichu, bardzo po cichu . . . Rezultatem tych narad było, iż obaj wyszli z przedziału, świecąc opaskami na ramionach z wykaligrafowanym na nich ołówkiem atramentowym napisem „Soldatenrat”.

Za pół godziny może już wszyscy Polacy, jadący w tym pociągu, wiedzieli, i ci z platform i ci z dachów, iż zmusić na leży siłą, tak kierownika pociągu, jak i maszynistę, do jazdy do Poznania, a kordon dworcowy, gdyby tam taki się znajdował, zerwać i rozbroić. Jadący tym samym pociągiem jeden z poważnych naszych posłów, pytany o zdanie, pochwalił ten plan, obiecując nawet, na żądanie rozmarzonych żołnierzyków, ogłosić niepodległość Poznańskiego, warunkując to jednak od postawy samych żołnierzy.

Tymczasem na szczęście, czy nieszczęście raczej, pociąg szedł rzeczywiście do Poznania, zatrzymując się tylko zrzadka na stacjach, przyjmowany niegościnnie i niechętnie przez nieufne tu „białe”, owdzie „czerwone” kordony żołnierskie, a w Poznaniu już władzę ujęła Rada Robotników i Żołnierzy.

Pociąg stanął na miejscu o godzinie 2 w południe, żołnierze rozbiegli się jak wróble po mieście, śnać stęsknieni za domem rodzinnym, poseł gdzieś zniknął, a nawet ów, szofer też się zapodział.

Smutną była ta niedziela 10 listopada 1918 r., a przynajmniej smutną się wydawała Białemu.

Próżno szukał po całym mieście znajomych, obchodząc wszystkie uczęszczane przez nich lokale, wszędzie pusto i głucho.

Najlepsza chwila mija bezpłodnie — myślał. — Gdyby tak można skrzyknąć swoich, zeseregować, znaleźć światłe kierownictwo; wszystko, wszystko możnaby zrobić...

Najlepsza chwila mija!. . .

Nagle te rozmyślenia przerwał mu zgiełk i wrzawa, to najmłodszy rocznik, dopiero co zaciągnięty do wojska, pastwił

się nad jakimś starym, a nieświadomym rzeczy podoficerem, odrzynając mu szarżę, oznaki i odbierając broń.

Tknęła go jakaś myśl.

— Słuchajcie koledzy. . .

?...

— Nie róbcie awantur. . . dajcie temu staremu idjocie spokój. Jak chcecie coś porządnego zrobić, to chodźcie ze mną ... Czy wszyscy Polacy?

— Wszyscy! A co mamy robić...?

Plan był prosty, oto w wojskowym więzieniu zwanem Grolmann, siedziała cała paczka polonji z Polskiej Organizacji Wojskowej, Skautingu itd., należało ich wypuścić, czego zaniedbał perfidnie zrobić poznański „Soldatenrat”. A że tam znajdowało się ich sporo, wiedział Biały od „Cugangów” z fortecy, z którymi zdarzyło mu się zetknąć i zamienić parę słów, mimo ostrych zakazów i srogich kar za takie przestępstwo. — Zresztą sam przecież gościł niejednokrotnie w tych murach i wiedział, że tak jest.

— Co potem?

— Zobaczymy.

Po drodze przyłączył się do gromadki jakiś młodziutki żołnierz z okrutnie najeżonym bagnetem, który musiał z widocznym żalem, zdjąć z karabinu, a potem dwaj dobrzy znajomi, bodaj czy nawet nie przyjaciele Białego, którzy prosto z ław gimnazjalnych dostali się w mundury.

Po serdecznych powitaniach i wtajemniczeniach w plany, chłopcy zgodzili się, aczkolwiek bez zbytniego zapału, dopomóc w przedsięwzięciu, tem więcej, że Biały, jako zwyczajny



szeregowiec, któremu czas wojny upłynął pomiędzy szpitalem a więzieniem, z małym ułamkiem frontu, a żadnym prawie życia koszarowego, nie miał sprawności w dowodzeniu, choć by plutonem, a co do wykonania dalszych planów było nieodzownem.

Podzielono więc oddziałek na części, tak że jedni i drudzy zamknęli dla przechodniów ulicę z obu stron, na wypadek, gdyby jakiemu osiołkowi z odwachu zachciało się strzelać, Biały wraz z swym uzbrojonym bohaterem i dwoma niedowierzającymi imprezie znajomymi udali się do gmachu więziennego.

Zastano bramę zaryglowaną na mur; na dzwonek, kołatanie kolbami, a wreszcie pukanie do okien odwachu, wyjrzał wreszcie ostrożnie jakiś sierżant z oznakami nienaruszonymi jeszcze, i ujrzawszy opaskę „Soldatenratu”, zgodził się wreszcie otworzyć bramę, wpuszczając jednak do wnętrza więzienia jednego tylko Białego, jako „przedstawiciela” nowej „Władzy”.

Czyż dziwić się można, że naszemu bohaterowi, choć nadrabiał miną, gdy posłyszał zamykające się za nim drzwi, zrobiło się trochę nieprzyjemnie?

Dopiero opuściwszy fortecę, jakżeż łatwo mógł się dostać znów do celi i przesiedzieć tu, Bóg wie jak długo. Bo przecież to, co robił, robił nielegalnie, bez wiedzy komendy miejscowej. A tymczasem jakież zmiany mogły zajść w tych chwilach?! To też złość go porwała i wpadł ostro na owego sierżanta, aby mu przyprowadził w tej chwili komendanta, gdyż tylko z nim chce mówić.

Sierżant poszedł, Biały wszedł tymczasem do izby odwachowej, a widząc same wąsate twarze starych

landszturmistów o fizjognomjach nie pozostawiających prawie wątpliwości, zaryzykował:

— Niech będzie pochwalony...

Odpowiedziano mu chórem, albo prawie chórem:

— Na wieki...

Odetchnął.

— I czemu wytusterczycie? — zwrócił się do nich w ich gwarze. — Nie może to jeden z drugim wynosić się do matki, pod pierzynę!? Mało to jeszcze macie wojaczki na stare lata?

— A bo to idzie „ćpić” służbę i tak „przez” wszystkiego jechać do domu?

— Jakto nie idzie? Jak ci kto zabroni, to rznij „knarą” „bez” pysk, aż mu się świecek zaświecą . . . teraz już nikt nic niema do gadania... już się wojna skończyła ... Wiluś uciekł!

— Bo i prawda — zakonkludował jeden.

— To niby jak zrobimy? . . .

W tej chwili wszedł sierżant z zawiadomieniem, że komendant czeka w swoim biurze. Biały, aby umocnić swoich Pelusów, zbliżył się do niego i kozikiem od chleba, podjętym ze stołu, przystępuje z całą powagą do odprucia jego oznak i godeł, tłumacząc, iż teraz nie wolno tych honorów używać, że „kamrat” dlatego tylko nie świadom jest rzeczy, iż pełniąc od dnia poprzedniego służbę na odwachu, nie wie, co się w mieście dzieje.

— A knary zabierzcie z sobą — rzuca do landszturmistów , wychodząc z izby. — Mogą się wam przydać, nie dziś, to jutro !

W biurze przyjął go komendant, stojąc na „bacność”.

Na przedstawienie, że ma w tej chwili wypuścić wszystkich

więźniów, zaczął kręcić, iż to nie da się zaraz technicznie przeprowadzić, że nie otrzymał z głównej komendy takiego rozkazu itd.

Biały zaperzył się:

— Jaki rozkaz?! On jest „przedstawicielem” S. Ratu, on daje rozkaz i on odpowiada za niego.

Koniec końcem, po nieudolnej jeszcze próbie połączenia się telefonicznego z komendą główną, o co już Biały nie dbał, będąc pewnym ludzi z odwachu, pan feldfelbel zgodził się na wszystko, prosząc tylko o pokwitowanie z odbioru więźniów.

Za chwilę odbyła się ta sama prawie scena, co dnia poprzedniego w fortecy: brzęk kluczy, łoskot bucisków podkutych gwoździami, przesadzających po kilka stopni schodów, trzaskanie drzwiami, powitania radosne, skrzykiwania się i niespodziewane wylewy radości.

Przed gmachem więzienia nasi młodzi przyjaciele, którzy już zwątpili w powrót Białego, jęli segregować tłum żołnierski, wysypujący się z bramy:

— Tu Skauci!

— Tu Organizacja Wojskowa!

— Tu Ochotnicy!

Któryś z oswobodzonych widząc, że Biały drży z zimna, sprezentował mu wspaniałomyślnie swój płaszcz, prawie nowy, który ten przyjął z wdzięcznością tern większą, że w jednej z jego kieszeni zaraz znalazł spory kawał kaszanki, która mu smakowała nadzwyczajnie.

Zebrało się chłopców razem około pięćdziesięciu, którzy w szeregach, równym krokiem przemaszerowali, pod komendą

jednego z naszych dwóch przyjaciół, do Reduty, noszącej tą samą nazwę co i więzienie, po broń i amunicję, uwalniając jeszcze stamtąd trzech żołnierzy, skazanych podobno na śmierć za zabójstwo oficerów.

Żołnierze ci byli Niemcami.

Dawno, może od czasu obchodu Kościuszkowskiego, nie słyszał Poznań publicznie, i to na ulicy, śpiewanej „Roty”, a nie słyszał jej jeszcze z ust żołnierzy, ubranych w pruskie mundury, uzbrojonych od stóp do głów w niemiecką broń — P o l a k ó w.

Była to chwila, w której można było wszystko, wszystko zrobić! — Była to chwila — niezapomniana! . . .

Nasz oddziałek zastał już prezydium policji zajęte przez oddział z Kermwenku, ma się rozumieć, złożony z samych Niemców, nasi znaleźli się w niewyraźnej nieco sytuacji. Jeszczeby ją można było uratować, gdyby pod ręką był jakiś, choćby fikcyjny Prezydent Policji, jakiś „ktoś” cywilny, zdatny na urzędnika — z ramienia polskich żołnierzy. . .

Niestety...

Tymczasem noc zapadała, Biały znalazł się jak ryba na piasku. — Trzeba było coś postanowić.

— ?

Bezradność!

Część chłopców została na Policji, aby Niemcom patrzeć na palce, a część rozeszła się do domów, zabierając ze sobą karabiny.

Tak bezpłodnie minął ten pierwszy J e d y n y D z i e ń!...

*Grzmotem burzy zawyła ulica,*

*Jako potop wirami się leje;  
Serc rozkutyh huragan szaleje,  
Krew zapалу wytryska na lica.*

*Tłum się kłębi wulkaniczną lawą,  
Piersi nagie podaje pod gromy;  
W dłoniach młoty, kilofy i łomy,  
Piersi nagie naprzód suną lawą. . .*

*O ty Boże! Sprawiedliwy Boże!...*

*Lud, Lud — Serce!... a za nim zaś mary  
Tych, co padli wśród rwania pęt srogich,  
Potem rzesze na Duchu ubogich,  
Których zgmiotły i więzy i kary.*

*Lud, Lud — Serce. .. a za nim zaś mary! ..,*

*O Ty Boże, Sprawiedliwy Boże. —  
Iżeś zwolił nam dożyć te; chwili;  
Dzieciąt naszych serc — grono się chyli,  
I cień Wojów przykleja w pokorze. —*

*O, Ty Dobry, Sprawiedliwy Boże!!!*



## OBRADY.

Nazajutrz były wielkie narady co najświatlejszych i najwplywowszych obywateli, w domu pewnego działacza narodowego.

— Co począć!?

— Jakież plany mamy na przyszłość?

— Zastanówmy się nad Dziś i Jutrem!... Pochylały się głowy pod brzemieniem troski, piersi podnosiły westchnienia ... radzono.

— Nie martwcie się! Francja wraz z Anglią dadzą nam wszystko... i Śląsk, i Pomorze wraz z Gdańskiem, i Galicję Wschodnią ze Lwowem, i . . . Wilno..

— I Kresy!

— I granicę ustalą, słowem, wszystko, wszystko nam dadzą, czego tylko zapagniemy.

— Zresztą, przecież gen. Haller jedzie z Francji, wioząc nieprzeliczone pułki na postrach Niemcom — ja radzę czekać.

— Czekać! Czekać!

Na stronie dwaj oficerowie, bez oznak, ale w swoich wspaniałych niemieckich mundurach, naradzają się szeptem, robiąc ważne miny, trzeci dowodzi właśnie, że akcja nasza może liczyć na powodzenie, — jak ją wszcząć, nikt sobie jeszcze nie wyobraża, ale w każdym razie trzebaby...

— Gromadzić broń i amunicję.

— Ale gdzie to podziać?!

— Werbować ludzi!

— Najlepiej, niech się wszyscy żołnierze udadzą do koszar i tam spokojnie, przez swoją większość, przez swój wpływ ...

— Najlepiej, czekać!

Tymczasem ktoś z żalem dowodzi, że centrala pocztowa, a raczej jej stacja telefoniczna pozwala sobie na kontrolowanie prywatnych rozmów, a nawet czasem je przerywa, lub nie których numerów wcale nie łączy — sama nie będąc kontrolowana przez nikogo z naszej strony. . . kto wie, co oni tam knują. ..

— Wiadomo, sami Niemcy tam siedzą.

Ów trzeci oficer zabiera głos:

— Mówiłem, że trzeba coś zacząć, teraz na przykład powinno się posłać jakiegoś kontrolera na pocztę, niech pilnuje, niech uważa, żeby nie było zdrady przeciwko nam.

— Ja pójdę — słycać głos.

— Ale tam odwach niemiecki, nie pozwolą nikogo osadzić.

— Dajcie tylko tego kontrolera — powtarza ten sam głos uporczywie, już ja go wprowadzę w urzędowanie - dodaje z przechwałką.

W godzinę później kilkunastu żołnierzy, zebranych częściowo z ulicy, częściowo oderwanych od bufetów restauracyjnych, mając przypięte przez zaciąg i grubą gospodynię-restauratorkę, do rękawów czerwone opaski, wchodziło na pocztę do izby, w której znajdował się odwach niemiecki.

— Zmiana!

— Co? tak szybko?

— Tak jest! Teraz my „miejscowi” obejmujemy służbę, a wy możecie jechać do domu. Papierów wojskowych ani biletów

kolejowych nie potrzebujecie, bo teraz tego nikt nie wymaga.

— Chyba, żebyście chcieli zostać w Poznaniu, — dodaje jeden — ale nie radzimy !. . .

Żołnierze odeszli, zostawiając karabiny. Na poczcie został odwach polski. Kontroler mimo sprzeciwów dyrekcji objął urządowanie.

Na zebraniu co najświatlejszych obywateli jeszcze długo radzono.

Koniec Wersji Demonstracyjnej